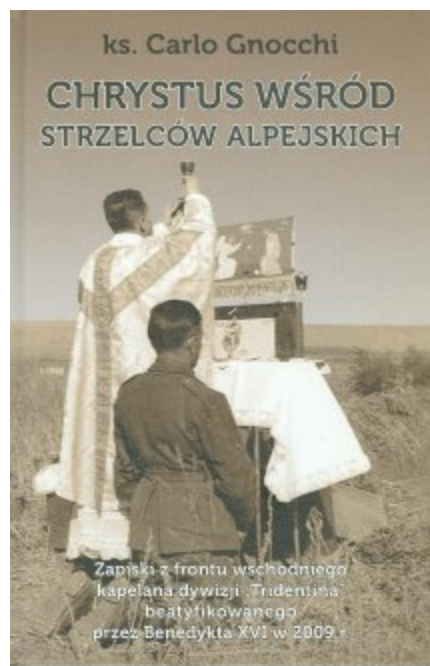


Chrystus wśród strzelców alpejskich - Carlo Gnocchi

Wyjeżdżać, to jakby częściowo umrzeć, ale ten powrót z ziemi rosyjskiej odczuwamy jako szczęśliwe i całkowite uwolnienie, bez poczucia żalu. Rosja, w pamięci każdego z nas, pozostanie zamknięta w swej wrogości, odległa, niezrozumiała i obca. I nawet budząca się wiosna, której blady uśmiech można dostrzec przez okno wagonu, nie jest w stanie osłabić i złagodzić ponurego, trwałego obrazu tej ziemi, który, niezatarty i przytłaczający, każdy z ocalałych żołnierzy poniesie w swym sercu.



Wyjeżdżać, to jakby częściowo umrzeć, ale ten powrót z ziemi rosyjskiej odczuwamy jako szczęśliwe i całkowite uwolnienie, bez poczucia żalu. Rosja, w pamięci każdego z nas, pozostanie zamknięta w swej wrogości, odległa, niezrozumiała i obca. I nawet budząca się wiosna, której blady uśmiech można dostrzec przez okno wagonu, nie jest w stanie osłabić i złagodzić ponurego, trwałego obrazu tej ziemi, który, niezatarty i przytłaczający, każdy z ocalałych żołnierzy poniesie w swym sercu.

Carlo Gnocchi

Chrystus wśród strzelców alpejskich

Rok wydania: 2015

tłum. Monika Rybicka-Bechta

Wydawnictwo Arte

Tej nocy pociąg wojskowy, który wiezie nas z powrotem do Włoch przekroczy rosyjską granicę. Sen nie nadchodzi z powodu napływu fali wspomnień, wyobrażeń o tym, co nas czeka, niespokojnych rojeń. Miarowy i nieprzerwany stukot kół jest zbyt uspakajający i monotony w zderzeniu z pełnym bólu rytmem myśli i uczuć.

Wyjeżdżać, to jakby częściowo umrzeć, ale ten powrót z ziemi rosyjskiej odczuwamy jako szczęśliwe i całkowite uwolnienie, bez poczucia żalu. Rosja, w pamięci każdego z nas, pozostanie zamknięta w swej wrogości, odległa, niezrozumiała i obca. I nawet budząca się wiosna, której blady uśmiech można dostrzec przez okno wagonu, nie jest w stanie osłabić i złagodzić ponurego, trwałego obrazu tej ziemi, który, niezatarty i przytłaczający, każdy z ocalałych żołnierzy poniesie w swym sercu.

Jest kwiecień [1943 r.] – czas, w którym każdy skrawek ziemi staje się piękniejszy, ale pora roku najbardziej odpowiednia dla tej natury zamysłonej i rozległej, to bez wątpienia jesień. Wiosna budzi się tutaj jakby czymś zbyt zmęczona, naznaczona chorobą; jest to zmęczenie i smutek odwieczny. Delikatny urok zimowej białej szaty szybko ulotnił się z pierwszymi promieniami słońca, jakby dotknięty tajemniczą i odrażającą zarazą. Na nieskazitelnej bieli śniegu szybko pojawiły się brudne, błotniste plamy, w których odbijało się szaropopielate niebo, dopiero co nieco rozjaśnione przez wiosnę. Spod śniegu wyłoniła się ziemia czarna i wodnista, w kształcie okrągłych pęcherzy, a błoto – niewiarygodnie lepkie – rozlewając się zapanowało na drogach, ścieżkach i polach.

Ale bezlitosne oblicze tej ziemi - wrogiej człowiekowi, w pełni objawia się jedynie zimą. My, strzelcy alpejscy, którzy musieliśmy jednaście razy podejmować bój, aby otworzyć sobie przejście w nieprzyjacielskim okrążeniu, wycofując się zimą przez 700 kilometrów w stepie; my, którzy przeżyliśmy siedemnaście nieskończenie długich dni w obliczu, nie tyle śmierci, która byłaby wyzwoleniem, ile niewoli u Rosjan; my, którzy musieliśmy ulec wobec upokarzającej przewagi ilościowej i technicznej aroganckiego nieprzyjaciela, musimy przyznać, że kampania włoska w Rosji może zostać określona „kampanią cierpienia” nie tyle z powodu Rosjan i ich śmiertelnej broni, ile z powodu ich niegościnniej ziemi i okrutnej zimy. Bardziej niż przez Rosjan, zostaliśmy pokonani przez Rosję.

Jak mógłbym zapomnieć lodowatych, bezlitośnie pogodnych nocy spędzonych w dramatycznym świetle obozowisk czy apokaliptycznych zamieci śnieżnych, które pokrywały świat jakby popiołem wydobywającym się z szarosiwej chmury burzy śnieżnej i przekształcały marsz strzelców alpejskich w pochód zesłańców lub potępieńców. Obsesyjne pragnienie postoju, ogniska, jakiejś różnorodności, życia i miłości w tym białym piekle, w tej zajadłej wrogości ludzi i rzeczy; a jeszcze ten zgubny marsz w kierunku niewidocznego i coraz odleglejszego celu, do którego szliśmy brnąc w śniegu, chłostani przez bezlitosny wiatr, zmarznięci do szpiku kości, przygniecieni i zdominowani przez niebo i ziemię oraz – z każdej strony – przez przewagę nieprzyjaciela, który skazał nas na zagładę.

Do jakich granic możliwości może zostać popchnięty człowiek przez tak wielkie nieszczęście i tak mordercze warunki?

Trzeba było walczyć i iść bez wytchnienia, i często bez nadziei. Byli tacy, którzy po długich dniach walki z wycieńczeniem, musieli się poddać. Niedostrzegalnie przesuwali się na bok maszerującej kolumny, by w końcu osunąć się na pobocze drogi. Leżąc na ziemi, zgaszonym wzrokiem powoli odprowadzali oddalający się pochód towarzyszy broni, którzy patrzyli na nich bez zainteresowania i bez litości wiedząc, że zamarzną na śmierć. Muły, jeden po drugim, upadały wycieńczone wysiłkiem, głodem, mrozem, a sanie wypełnione rannymi i z odmrożeniami zatrzymywały się w przytłaczającym bezmiarze stepu. „Nie zostawiajcie nas tutaj, przecież też jesteśmy Włochami!” – jęczeli ci nieszczęśnicy, chwytając się kurczowo kolegów, którzy sami ledwo trzymali się na nogach. „Księżo Kapelanie, na miłość Boską, – błagał jeden z rannych – niech mnie ksiądz zastrzeli, ale nie zostawiajcie mnie tutaj.”

Czyż może być położenie bardziej rozpaczliwe i upokarzające od tego, w którym nie możemy przyjść komuś z pomocą; kiedy brakuje nawet bandaża dla rannych, kiedy nie ma się siły, aby wyciągnąć rękę do zmarzniętego na kość żołnierza, który wlecze się na czworakach za kolumną, kiedy nie ma się nawet kropli wody dla umierającego (woda w studniach zamrzła) ani kawałka chleba dla wycieńczonego i – co najgorsze – kiedy nie jest się w stanie nawet współczuć w cierpieniu? Kto może powiedzieć, że w życiu doświadczył uczucia przerażenia widząc, jak własne serce traci zdolność do współodczuwania w obliczu cierpienia, zagrożenia czy śmierci? Nie ma nic strasniejszego od tego stanu znieczulenia, podobnego do duchowej śmierci, spowodowanego wielokrotnymi, ciężkimi ciosami zadanyimi przez doświadczenia ponad ludzkie siły, przez głód, zmęczenie i brak snu.

No właśnie, brak snu... Kiedy wieczór powoli kładł się swym smutnym cieniem na stepie, wszystkie oczy z niepokojem i nadzieją wyteżały wzrok, czy przypadkiem, na horyzoncie nie ukaże się sylwetka drewnianej chałupy albo zarys jakiejś położonej na odludziu wioski. I jak tylko go dostrzeżono w nocnej, fosforyzującej bieli, kolumna zmęczonych i wlokących się noga za nogą mężczyzn nagle ożywiła się. Mocniejsi przyspieszali kroku, inni, wyprzedzeni, zbierali w sobie resztki sił na myśl o bliskim już dachu nad głową, gdzie mogliby się położyć, chroniąc się przed bezlitosnym zimnem. Ci, którzy doszli pierwsi, pospiesznie wciskali się do domów, zajmując każdy kąt aż pod sam dach; inni, docierając w kolejnych falach, wypełniali każdą szczelinę, opierając się jedni o drugich. Ostatni, najbardziej zmęczeni, musieli zadowolić się miejscem pod ścianami zewnętrznymi, smagani wiatrem i mrozem, mężnie walcząc z opadającym ich śmiertelnym snem. „Pozwólcie mi choć włożyć głowę do środka – przez szparę w drzwiach błagał słabym głosem jeden z żołnierzy w czasie nocnej zadymki – dajcie mi choć raz zaczerpnąć ciepłego powietrza...” I żaden z tych stłoczonych i charczących mężczyzn, pogrążonych w zwierzęcym śnie, nie mógł mu odpowiedzieć.

Jedzenie, to kolejny dręczący imperatyw. Czegoż to nie widziałem, a czym chciano napełnić żołądek w dniach odwrotu! Resztki zupy, plewy prosa pozostawione przez Rosjan, ziemniaki, surowe buraki, kawałki zeschniętego chleba... W tej samej chwili, w której muł lub koń padały na ziemię z wycieńczenia, natychmiast otaczała go zbitych grupa ruchliwych mężczyzn z bagnietami i nożami, a po kilku minutach nic nie zostawało na czerwonym od krwi śniegu, tylko głowa zwierzęcia, jeszcze ciepła i sugestywna, cztery nogi oraz sterta dymiących wnętrzności, które

któryś z żołnierzy jeszcze raz przetrząsał, zanim odszedł ze swoim kawałkiem mięsa nadzianym na lufę karabinu, aby usmażyć go na ogniu nocnych obozowisk.

Mogę powiedzieć, że w tych tragicznych dniach wreszcie zobaczyłem człowieka. Człowieka nagiego, bez hamulców, zupełnie odartego z jakiegokolwiek konwencji, całkowicie we władaniu najprymitywniejszych instynktów, które, do tej pory skryte w najdalszych zakamarkach psychiki, w przerażający sposób wypłynęły na powierzchnię z powodu okrucieństwa wydarzeń nie do udźwignięcia. Widziałem walkę na bagnety o kawałek chleba czy mięsa; widziałem, jak walono kolbami karabinu po rękach rannych i wyczerpanych, którzy chwytali się sań, jak ostatniej deski ratunku; widziałem żołnierzy, którzy wszedłszy w posiadanie kawałka chleba, oddalali się, aby zjeść go łapczywie w ukryciu, spoglądając spod oka jak pies w obawie, że będą się nim musieli podzielić z innymi; widziałem oficerów jadących saniami w bezpieczne miejsce ze swoimi rzeczami osobistymi, a nawet z psami myśliwskimi lub kobietami rosyjskimi ukrytymi pod kocami, którzy obojętnie przejeżdżali obok leżących na ziemi rannych i z odmrożeniami; widziałem człowieka strzelającego w głowę swego towarzysza broni, ponieważ nie chciał ustąpić mu skrawka ziemi w chałupie, by potem, bez zahamowań, położyć się na jego miejscu.

A jednak, pośród tak wielu odartych z ludzkich uczuć, udało mi się znaleźć rzadkie okazy dobroci, szlachetności i miłości – przede wszystkim wśród ludzi prostych – i to ich wspomnienie, miłe i cudowne, sprawia, że pamięć o tych nieludzkich wydarzeniach wzbudza mniejszy bunt i staje się mniej przerażająca.

Rosja, tak czy owak, jest od zawsze ziemią nie przynoszącą szczęścia Włochom.

Pamiętam, że w półśnie tych nocy ciężkich od koszmarów sennych i naznaczonych zmęczeniem, Rosja jawiła się mojej przemęczonej wyobraźni zawsze jako ogromna, bezwładna, enigmatyczna masa, która w sposób pasywny daje się opanować; pozwala iść do przodu z uległym i tajemniczym uśmiechem, by nagle zamknąć się za twoimi plecami; oblepia cię i unicestwia w swoim niezmiernym bezkresie tak, że nie możesz się uwolnić i z całych sił starasz się iść w stronę linii nieosiągalnego horyzontu.

Jest tylko jedna siła, teraz i na zawsze, która sprawia, że nasze serca kierują się ku tej odległej ziemi: pamięć i zobowiązanie wobec naszych zmarłych. Drodzy naszemu sercu towarzysze broni, których pozostawiliśmy na drodze ku wolności i życiu, żegnając ich pocałunkiem w czoło przed złożeniem ich ciał na śniegu zdeptanym przez żołnierzy z bronią w garści i obrazem Ojczyzny w zgaszonych oczach.

Oby mogli, jak ziarno, które posiane obumiera, przynieść nową wiosnę ducha tej udręczonej ziemi!